



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marianna Klara Fiett

Ulica Kowalska i inne...

W roku 1938 miałam siedem lat i rozpoczęłam naukę w pierwszej klasie szkoły powszechnej w jednej z osad na Lubelszczyźnie. Szkoła mieściła się w wynajętym drewnianym domu. Ubikacje (nie W.C.) były na podwórzu, palta wieszano na gwoździach w klasie. Nie było nawet studni, przy której można by umyć ręce czy rozbity nos. Na początku roku w salce przeznaczonej na 30 dzieci było nas 64. Takie pierwsze klasy były trzy.

U nas były dwie schludne Żydóweczki – Rachelka i Esterka, około piętnaścioro biednych dzieci żydowskich nie umiejących mówić po polsku, kilkoro dzieci fornalskich z pobliskiego dworu, mniej więcej sześcioro dzieci polskich, których rodzice mieli stałe dochody i reszta żyjąca głęboko poniżej minimum. Dzieci fornalskie były najbiedniejsze. Nie miały butów, nie miały majtek. Miały po połowie ołówka, a dziewczynki często przychodziły do szkoły z niemowlakami, którymi musiały się opiekować. Z nastaniem pierwszych mrozów przestawały przychodzić do szkoły. Dzieci żydowskie, poza Esterką i Rachelką też odpadły, a polskie przy tablicy pokazywały brudne, poszarpane majtki i pończochy podwiązane sznurkiem.

Czy ktoś teraz wie, co to są skrofule? Jest to ropne otwieranie się gruczołów chłonnych na szyi, na wskutek niedożywienia i utraty odporności na zakażenia. Były to częste przypadki, ale nikogo to nie obchodziło. Nie było w tej osadzie żadnej służby zdrowia poza akuszerką i bardzo droгим prywatnym lekarzem.

Nasza młoda nauczycielka, panna Helena Miakisz, nie uciekła z tej klasy nawet wtedy, kiedy chłopcy nasikali, żeby zrobić sobie ślizgawkę na czarnej z brudu podłodze. Głaskała wszystkie zawzorne głowy, rozdzielała sprawiedliwie piętnaście łyżek tranu w okresie zimowym i chwaliła fornalskie dzieci za ich tragicznie smutne, nieudaczne piosenki. Nasza pani była naszą pierwszą uświadomioną, uśmiechniętą miłością na tle biednego, brudnego świata.

Potem przyszła wojna – straszna dla Esterki, Rachelki, Marysi Popiołkówny ze dworu, dla wszystkich dzieci, które pierwszego września 1939 nie poszły do szkoły.

* * *

Po wielu latach dostałam fotografię studni na ulicy Kowalskiej w K. Chciałam ją mieć, gdyż ta studnia poila mnie przez całe moje dzieciństwo. Nigdy nie lubiłam mleka, dlatego wodę, wspaniałą wodę, aż niebieskawą w aluminiowym kubku, wspominam jako rzecz już nieosiągalną.

Moja ulica, Kowalska, jest zaniedbana, ma kilka domów o żadnym charakterze, w których mieszkają ludzie albo starzy, albo bez określonego zawodu. Kiedyś moja ulica ciągnęła się jeszcze po całym boku trójkąta, na którym łączą się drogi z Puław i z Warszawy do Lublina. Dlatego było tam co najmniej pięciu kowali z kuźniami na froncie domostw. Trzej z nich to Stępniewscy, Tomasz Witkowski i Panecki zwany „zimnym kowalem” z powodu braku pieniędzy na koks do paleniska. Już w moich czasach okres prosperity minął. Nawet nie motoryzacja, ale poprowadzenie kolei w znacznej odległości od miasteczka odebrało tej trasie znaczenie transportowe. W kuźni mojego stryja bardzo rzadko rozpalano palenisko, ale za to zabawa była tam wyśmienita. Dużo miejsca, bez obawy nabrudzenia, nikt nie przeszkadzał, a huśtanie się na wielkich skórzanych miechach to była emocjonująca frajda.

Ta reprezentacyjna część ulicy od strony skrzyżowania dróg miała jeszcze tzw. „czajnię”, czyli zajazd – jadłodajnię, czynną całą dobę na użytek przejeżdżających woźniców i nielicznych jeszcze wtedy szoferów. Mój ojciec opowiadał, że kiedy zamawia się tam porcję gęsi z sosem, to właściciel woła do żony: „Fajge, gibie ciałnik machte sos!” Były tam także trzy sklepy: na rogu piekarnia pani Kokoszkowej, drobnej, siwej, miłej pani z tak liczną rodziną, że nigdy nie udało się ustalić liczby jej członków. Dalej sklep spożywczy pana Mazurkiewicza, w którym widok platerowanej tacy pod masło sprzedawane na wagę i pięknego (zawsze czystego) nożyka nawet przez pewien czas wzbudzał we mnie pragnienie zostania ekspedientką. Następny był sklep mięsno-wędliniarski pod szyldem „Masarstwo”. Jego właścicielką była pani Koziejowa, jedna z niewielu miejscowych kobiet, które regularnie miały zrobioną „wieczną ondulację” i z rana chodziły w szlafroku.

Bardzo dobrze pamiętam kaszarnię na początku ulicy. Stały przed nią worki z ziarnem, terkotały jakieś maszyny ręcznie napędzane, a niekiedy udawało nam się zwędzić trochę łuskwinek z gryki, które świetnie nadawały się do zabawy w gotowanie lub w sklep. Dalej był dom mojego stryja z wymienioną już kuźnią, wąska uliczka – nazywana po prostu „uliczka” i dom rodziny żydowskiej Wigderów. Było tam co najmniej pięciu synów i najmłodsza córka Marmełe, z bardzo jasnymi kędziorami. Czym się zajmowali nie wiem, ale mama Wigderowa przez cały dzień gotowała, wałkowała ciasto przy oknie wychodzącym na ulicę, szorowała i suszyła na słońcu przed domem różne przedmioty gospodarstwa domowego.

Następny był dom, którego połowę od frontu zajmowała moja rodzina. Nasze okno z pokoju wychodziło na podwórko Wigderów i mama często zwracała uwagę sąsiadce, że jej synowie na golasa biegają do sraczyka.

W drugiej połowie domu mieszkała siostra mojego dziadka z mężem ogrodnikiem. Obydwoje ludzie już starzy, nie bardzo dawali sobie radę z odległymi od domu uprawami i zwykle była u nich służąca. Szczególnie zapamiętałam Wiknę, tęgą mocną dziewczęcą z kilkuletnim, bladym synkiem. Pewnego dnia dzieciaki odkryły, że chłopak ma coś nie tak i po kolei czatowały za naszym domem, żeby go podejrzeć jak pójdzie za swoją potrzebą. Ten dzieciak miał prawdopodobnie przepuklinę domoszną.

Małe nasze podwóreczko, na którym można było tylko narąbać drzewa i ułożyć go w sęgi, zamykały komórki. W naszej nic nie przechowywaliśmy, ale były tam tabuny pajaków krzyżaków. Odkryłam wtedy w sobie coś takiego, czego nie chciałam ujawnić nikomu. Sama, pokonując przez pół dnia strach, wchodziłam do tej ciemnej komórki i wpatrywałam się w tego największego pajaka, siedzącego bez ruchu na swojej misternej „arenie”. Wychodziłam stamtąd trochę jak po przestępstwie, ale i z uznaniem dla siebie.

Studnia była naprzeciwko naszego domu. Władze gminne otaczały ją opieką. Była zawsze sprawna, obudowana takim altankowym ogrodzeniem z daszkiem. Był przy niej bezustanny ruch. Woda była w niej wyśmienita. Obsługiwała dużą część miasteczka, a nawet z innych ulic posiadających studnie przychodziły gospodynie twierdząc, że kapusta gotowana w tej wodzie jest znacznie lepsza. Studnia była miejscem wymiany informacji, załatów, ale nigdy nie widziałam przy niej żadnych kłótni. Było to miejsce zbyt wyeksponowane, widoczne z okien co najmniej sześciu domów. Była też miejscem obmywania przez nas – dzieci śladów zbyt dobrej zabawy, przed powrotem do domu: usmarowanych mordek, porozbijanych kolan i łokci, a nawet zapierania poplamionych ubrań. Przychodziło też do niej po wodę dwóch zawodowych żydowskich nosiwodów z dwoma wielkimi wiadrami.

Na Kowalskiej mieszkało co najmniej sześciu szewców. Kilku, to zwykli łaciarze, ale byli i tacy, od których buty chciałoby się mieć i dzisiaj. Ojciec mojej koleżanki Zosi był kuśnierzem od kozuchów. Nie były to kozuchy spalone chemikaliami, ale wyprawiane w szafliku, zacierem z żytniej mąki, moczone w wywarze z kory dębowej. Ręcznie wykańczana powierzchnia nawet na deszczu zachowywała się jak aksamit. W domu Zosi, tak jak i u innych kuśnierzy, była wielka kuchnia, która w połowie służyła rodzinie, a w drugiej połowie stał olbrzymi stół. Przy tym stole od rana do wieczora siedziały młode kobiety i szyły ręcznie kozuchy skrojone w nocy przez Zosi ojca. Szycie skór jest zupełnie inne niż tkanin. Musi być staranne, gdyż prucie jest niedopuszczalne. Kozuchy były ozdabiane przy obszyciach cienkimi, kolorowymi skórkami nazywanymi „safianami” oraz kolorowymi haftami z kordonków. Ta praca wymagała wielkiej dokładności i stale nadzorował ją właściciel lub jego żona. Ale rodzice Zosi nie byli bogaczami.

Moim sąsiadem z drugiej strony domu był Uszer czyli Usie. Ten chłopiec nie chodził do polskiej szkoły. Jego ojciec był pisarzem w bożnicy i Usie także był przeznaczony do kariery religijnej: Tłuściutka mama nie odstępowała go na krok i nie miał on kontaktu z naszą zgrają z ulicy Kowalskiej. Inna dziewczynka – Esterka próbowała się ze mną zaprzyjaźnić, ale kiedy jej brat najechał na mnie rowerem i trochę mnie poturbował, mojego ojca poniosło i tak się to skończyło.

Nie brakowało nigdy kompanii do zabawy. W każdym domu było kilkoro dzieci, mieszkania małe, klimat doskonały, wymagania sprzętowe żadne, a pomysłów niekosztownych wiele. Gra „w klasy”, „w guziki”, „w wojnę”, „w złodziei i policjantów”, zabawy „w dom”, „w sklep”, „w szkołę”, a wreszcie prawdziwe pogrzeby kanarka, którego udusił kot, czy kota, którego udusił pies.

Ulica Kowalska przechodziła w wąwóz w kształcie krzyża. Nie był on zbyt głęboki, gdyż jego ściany porastały trawy i różne zielska. Był to lepszy plac zabaw niż inne, zaplanowane przez architektów. Był użyteczny w lecie, ale w zimie to było szaleństwo sankowe z różnymi skalami trudności i niebezpieczeństwa.

Na Kowalskiej było nas ponad pięćdziesięcioro. Siódmego września spłonęły nasze domy, króliki w komórkach, wiązy i daszek przy studni, potem odeszli Usie, Marmełe, Esterka, nosiwoda i „wredne Karakucówny”. Nasi rodzice usiłowali coś sklecić na ulicy Kowalskiej, ale już zabrakło im życia. Tylko łopiany urosły, studnia już nie jest potrzebna, doły zasypane. Nie ma dzieci na ulicy Kowalskiej. Nie ma tam już żadnego rzemieślnika, nie ma tam już życia. Ulica Kowalska straciła życie w czasie wojny.

* * *

Rok 1939. My dzieci z K. nie wiedzieliśmy nawet, że na wakacje się wyjeżdża. Były jakieś kolonie w okolicy, ale one były dla sierot z Warszawy. My nie byliśmy sierotami, więc nasze miejsce było przy rodzicach. Trochę już tęskniąc za szkołą, może znużeni wakacyjnymi obowiązkami rodzinnymi, zebrałiśmy się grupką na zarośniętym wysoką, przekwitłą trawą placu szkolnym. Ktoś wtedy powiedział, że będzie wojna, ale to była dla nas jeśli nie abstrakcja to może wyobrażenie podobne do bitwy pod Raclawicami.

Mój ojciec był jednoosobowym przedsiębiorstwem transportowym dla drobnych kupców i rzemieślników. Swoim samochodem ciężarowym jeździł prawie codziennie do Lublina lub Warszawy. Z K. wywoził gotowe wyroby, takie jak kozuchy, ubrania, buty, a także płody rolne. Przywoził natomiast surowce na wykonywanie w K. – gdzie było dużo taniej siły roboczej – większości tych towarów, które sprzedawano potem w Lublinie na ulicy Lubartowskiej lub w Warszawie na Nalewkach. Słowo „wojna” wypowiedział tego samego dnia wakacji, przy kolacji, po powrocie z Warszawy:

– Majer chce, żebym zamiast pieniędzy, które jest mi winien, wziął z jego sklepu co mi potrzeba z ubrania, bo będzie wojna.

Rodzice naradzili się i za kilka dni ojciec przywiózł jakieś garnitury i płaszcze, w doskonałym gatunku, pełne warszawskiego szyku, ale zapewne szyte w podobnej mieścinie jak K. Mama zaczęła znosić jakieś torebki z ryżem, herbatę, mydło... ale także szykowała mi białe kołnierzyki do szkoły. Ojciec bywał w domu coraz mniej. Na szosie pojawiały się grupki żołnierzy. Radia u stryja już nie dawało się słuchać, taki poszarpany był program. I kiedy któregoś dnia na początku września ojciec nie wrócił do domu przed kolacją, a potem przyprowadził ze sobą trzech „panów redaktorów z Warszawy” na nocleg, to już było coś nie tak. A o północy rodzice obudzili nas i kazali się ubierać, bo wyjeżdżamy. Przed domem stała ciężarówka ojca załadowana najpotrzebniejszymi rzeczami. Wyjechaliśmy nad ranem w kierunku Lublina. Po drodze wstąpiliśmy do rodziny matki. Zatrzymali nas na śniadanie, a dorośli o czymś nerwowo rozmawiali. Około dziesiątej ktoś przyniósł wiadomość, że K. zostało zbombardowane i pali się. Babcia z szosy przyprowadziła małą Żydówkę, która w szoku biegła w stronę Lublina z nadgryzioną gruszką w jednej ręce i kawałkiem chleba w drugiej. Poznałam moją koleżankę z klasy Rozę, ale nie mogliśmy się z nią dogadać – była jak pomieszana. Wyrwała się i pobiegła dalej.

Ojciec zostawił nas u rodziny, a sam pojechał do K. Wrócił w nocy. Opowiadał, że nie mógł podejść blisko. Całe miasteczko płonęło. Od strony rzeki widział palący się nasz dom, w którym się urodził. Nie było już do czego wracać. Pojechaliśmy dalej szosą zapchaną uciekinierami z Warszawy i grupami wynędzniałych żołnierzy. W Lublinie kupiliśmy dwadzieścia deko szynki i gorzką, ciemną bułkę. Pożeraliśmy to nie wybierając już białego tłuszczu, popijając zimną wodą z sokiem z czarnych jagód, który miał być lekarstwem na ewentualne biegunki. Z zawiścią patrzyliśmy jak mama częstuje też żołnierza, który już nie miał cholew u butów, bo wymienił na wsi na chleb i próbował jeść marchew w polu, ale zemdlilo.

Po drodze wyplakałam się z powodu mojego spalonego w K. angorskiego królika, a zaraz potem opętał mnie patriotyczny nastrój. Przebrałam się w wyciągnięty z kosza zuchowski mundurek, ale że nie miał pagonów, na których chciałam przyszyć biało-czerwone paski, nie było też pod ręką igły i nici, więc wycięłam dziurki na ramionach i przewlokłam jakieś biało-czerwone ścinki. Przy pasku

przymocowałam prezent od „panów redaktorów” – maseczkę przeciwgazową wykonaną z żółtej, pikowanej flaneli i wypełnioną jakimś skrzypiącym proszkiem (węglem aktywnym).

W drodze przeżyliśmy ostrzał z nisko lecącego samolotu. Wszyscy chowali się w kartofliska i pod drzewa, a ojciec nie zatrzymał się. Powiedział: „Jak mamy zginąć, to lepiej wszyscy razem”. Gdzieś koło Piasków Luterskich zaczęło nam brakować benzyny. Zjechaliśmy w boczną drogę, do majątku z gorzelnią. Dalsza jazda na spirytusie to była męka dla wszystkich. W kabinie kierowcy zrobiło się gorąco, silnik zaczął się grzać, mimo iż mój starszy jedenastoletni brat, leżąc w czasie jazdy na błotniku auta, coś tam regulował śrubokrętem. Ciemną nocą dojechaliśmy do Chełma i zatrzymaliśmy się u siostry ojca. Tam dopiero dowiedziałam się, że jedziemy na Ukrainę, gdzie ojca kuzyn jest leśniczym. To brzmi absurdalnie, ale na szczęście nie zdążyliśmy tam dojechać i dzielić losu rodziny leśniczego i innych Polaków ze wschodu.

Wróciliśmy na swoje popioły. Przygarnęli nas ludzie, których dom na obrzeżu miasteczka ocalał. I zaczął się czas, w którym polubiłam kożuchy na mleku, bo po przyjaźni dla czworga dzieci mama mogła go kupić tylko pół litra dziennie. Nastął czas, w którym trzeba było rozstać się z marzeniami o długiej, białej sukni do pierwszej komunii, o rowerze, a zastąpić je marzeniami o bułce z masłem i prawdziwej herbacie.

W tej zrujnowanej strukturze miasteczka bardzo powoli odnajdywałam swoje koleżanki, a niezwykle ostra zima 1939/40 zupełnie uniemożliwiała wychodzenie z domu, także z powodu braku odpowiedniego obuwia i odzieży. Żydowska rodzina mieszkająca w tym samym domu znikła z dnia na dzień, a do lokalu wprowadzili się dwaj niemieccy młodzi oficerowie w mundurkach z turkusowym odcieniem. Jeden z nich pyzaty, z czerwonymi policzkami, całymi dniami buszował po okolicy, przynosił zdobyczne kury, jajka, sery, masło i inne produkty, z których gospodyni domu musiała mu przygotowywać potrawy. Pachniał mocno nadużywanym alkoholem i hałasował do późna w noc.

Drugi zdobywca nazywał się Weiss. Pochodził z Łodzi i doskonale mówił po polsku. Był chudy, blade, spokojny i widywaliśmy go tylko w dni słoneczne, jak opatulony w koc leżakuje w bujanym fotelu przy nasłonecznionej ścianie garażu.

Kiedy po kilku tygodniach obaj panowie wynieśli się, wszyscy poczuliśmy ulgę. Przestaliśmy być myszami w sąsiedztwie kota. Ciężarówkę odebrano ojcu już w październiku. Nie wiem czy mieliśmy jakieś zapasy czy tylko solidarność ludzka pozwalała nam przeżyć tę zimę. Moi rodzice nie pochodzili z rodzin zajmujących się rolnictwem, ale ojciec przed wojną dobrze zarabiał, a życie prowadziliśmy skromne. Oszczędzaliśmy na zakup własnego wygodnego domu w K. Ponieważ taka okazją się nie trafiała, 10 tysięcy złotych rodzice złożyli w PKO, a także kupili 4 hektary ziemi z ustawowej parcelacji majątku rodziny Kisielów. Jedynym wyjściem w zaistniałej sytuacji było więc zajęcie się uprawą roli. Bez domu, bez budynków gospodarczych, bez inwentarza, bez najmniejszego doświadczenia, bez pieniędzy, z obowiązkowymi dostawami mleka, z kontyngentem zbożowym – to naprawdę był koszmar, ale dzięki temu trzy razy ojca jako rolnika zwolniono z branki na zakładników.

* * *

Nie rozpoczęły się lekcje w roku szkolnym 1939/40, gdyż budynek szkolny zajęli na kwaterę niemieccy żołnierze. Spaliły się w naszym domu wszystkie książki, kolorowe włóczki, moje szmatki i kordonki. Ocalałam wprawdzie swoje lalki, ale nie umiałam się już nimi bawić. Zajmowaliśmy bardzo małe mieszkanie u znajomych. Opiekowałam się dwojgiem młodszych dzieci, ale kiedy życie okupacyjne jakoś się ułożyło, opanowała mnie jakaś mania robienia czegoś co nie byłoby na polecenie, ale moją własną inicjatywą. Może też trochę potrzebowałam samotności, uwolnienia się od dwóch uciążliwych bachorów. Ale nie było w co rąk włożyć. Na podwórzu stał wrak starego, pękatego autobusu bez kół, który właściciele domu przydzielili nam jako komórkę na opał. Czasami tam się chowałam, żeby odizolować się od wiecznie obecnego rodzeństwa. Ale pomimo to trawiła mnie wściekła nuda i niemożność twórczego działania. I pewnej nocy przyśniła mi się nieznajoma kobieta. Nic do mnie nie mówiła, a ja wiedziałam, że coś jest w tym autobusie. Obudziłam się. Długo czekałam na zimowy świt. Zerwałam się z łóżka razem z rodzicami i pobiegłam do autobusu. Jakby kierowana czyjąś instrukcją zaczęłam przeszukiwać wszystkie oderwane dykty, którą kiedyś wykończono wnętrze autobusu. W jednej z dziur znalazłam paczkę pięknych, kolorowych nici i zaczęty haft. Mój problem został rozwiązany na długie miesiące.

Za kilka dni podsłuchiłam opowiadanie gospodyni domu o poprzedniej lokatorce mieszkania przez nas zajmowanego. Była to młoda kobieta, bardzo nieszczęśliwa, uciekająca w samotność. Umarła przed dwoma laty.

* * *

Mimo iż w oknach naszej szkoły suszyły się podkoszulki i gacie niemieckich żołnierzy, nasi nauczyciele zorganizowali nam lekcje w prywatnej drewnianej willi. Ograniczenia programowe nie dopuszczały żadnych podręczników, wspomnień o historii, geografii i innych dziedzinach zbędnych kandydatom na robotników rolnych, drogowych i budowlanych. Ale chodziliśmy na kilka godzin do tej szkoły, śpiewaliśmy polskie piosenki z grającym na skrzypcach panem kierownikiem, uczyliśmy się rachunków (bo tak wtedy nazywała się matematyka), do perfekcji opanowywaliśmy ortografię (aż dziwne, że wśród dzieci ludzi tak prostych nie było dyslektyków) i ćwiczyliśmy gramatykę polską. Niekiedy władze kazały nam zbierać pieniądze na przewidziane oficjalnym programem pisemko pt. „Ster”. Były w nim przypowiadki tak wyprane z jakiegokolwiek sensu i ducha, że nic z jego treści nie pamiętam. No może tyle, że ciągle tam pisano o zamiataniu podłogi, myciu okien i szorowaniu stołu. Ale na nim trenowaliśmy gramatykę, rozbierając zdania w tę i z powrotem. To wszystko, co z tym fantem – „Sterem” mogli zrobić nasi nauczyciele. Ale to było dużo. Już znacznie później, po wojnie, kiedy niektórzy z nas zaczęli się uczyć języków obcych, byliśmy im bardzo wdzięczni za to walcowanie gramatyki.

Ta biedna nauka, przerywana brakiem opału, była ważna jeszcze z jednego powodu. MY się spotykaliśmy, MY się interesowaliśmy, dlaczego ktoś nie przychodzi. Zamiast każdego z nas, byliśmy MY i byli NASI NAUCZYCIELE.

Zdarzył się taki zimowy ranek, kiedy przyszlismy grupką do naszej „szkoły” i zastaliśmy zamknięte drzwi i okiennice, a przed gankiem leżał zabity człowiek. Był to młody, piękny mężczyzna z brązowymi, kręjącymi się w loki włosami, w eleganckim szarym garniturze i jedwabnej koszuli poplamionej na piersiach krwią. Ta willa stała na uboczu, właściciele gdzieś znikli, a my – ośmiolatki staliśmy bezradni i zrozpaczeni, że oto kończy się istnienie naszej szkoły. Po pewnym czasie rozeszliśmy się do domów. Do dzisiaj nie wiem, co tam się wydarzyło, bo my – dzieci okupacji – już wtedy wiedziałyśmy, że nie zadaje się pytań i im mniej się wie, tym jest bezpieczniej.

* * *

Po ostrej zimie 1939/40 zaczęły się roztopy. Właśnie z lubością rozchlapywałam wodę wiosennych kałuży przedwojennymi butami od „Bata”, kiedy usłyszałam, że ktoś mnie woła po imieniu. Zamarłam, bo gdyby to był ktoś z rodziny i doniósł o mojej rozrywce ojcu, dostałabym co najmniej burę za głupotę. Ale była to moja nauczycielka, pani Michalina Młotkówna.

- Czy się uczysz? Czytasz coś?
- Nie.
- To przychodź do mnie do domu, jak będziesz miała czas.
- Ale tatuś nie ma pieniędzy, żeby zapłacić.
- Jak będzie miał to zapłaci. Przychodź.

Tak zaczął się drugi etap mojej okupacyjnej edukacji. Nasza Pani, absolwentka seminarium nauczycielskiego we Lwowie, od kilkunastu już lat była nauczycielką w K. Wynajmowała mieszkanie w eleganckim domu z zadbanym ogrodem, który był własnością późniejszych teściów Czesława Janczarskiego – twórcy ukochanego przez dzieci Misia Uszatka. Schodziliśmy się w mieszkaniu Pani o różnych godzinach, w różne dni. Często w tym mieszkaniu byliśmy sami i czekając na naszą Panią sprzątałyśmy, myliśmy naczynia, albo wyglądaliśmy się jak prawdziwe dzieci. Do naszej dyspozycji była kuchnia i jeden pokój. Drugi pokój był zawsze zamknięty. Wtedy nie wiedzieliśmy dlaczego, ale tam ukrywał się pan, który po wojnie został mężem naszej Pani.

Kiedy Pani wracała do domu musieliśmy rzucać wszystkie zajęcia i zabawy z jej kawką i zaczynała się lekcja. Ale nie umiem ich opisać. To nie było ćwiczenie nas w umiejętnościach, ale rozmowy nasycone informacjami, wyjaśnieniami spraw z różnych dziedzin nauki i życia. Chociaż nic nie było zadawane do odrobienia, było nie do pomyślenia, aby nie wiedzieć tego o czym Pani nam już mówiła. Jeszcze długo po wojnie nie mogłam się jej odwzajemnić za to. Potem było już za późno.

* * *

W kwietniu 1940, w ciągu jednej nocy żołnierze niemieccy zupełnie niepostrzeżenie opuścili naszą szkołę. Natychmiast zwołano nas na lekcje. Do tej prawdziwej szkoły poszliśmy prawie w komplecie, a nawet zjawiała się „nowa”. Stała przed wejściem czerwona z zawstydzenia, a grono dzikusów obojga płci oglądało ją bezczelnie. Ona była „inna” i „dziwna”. Masywna blondynka z grubymi, długimi warkoczami, w drewnianych chodakach na nogach. Ubrana w grube, kolorowe, ręcznie robione na drutach pończochy, spódnicę z samodziłowej granatowej w paseczki wełny, mięsisty biały golf z owczej wełny w misternie przeplatane wzory. Na ramionach wełniana chusta, a książki związane urządzeniem z rzemyków i klamerek. To była Teresa – dziewczynka wysiedlona z Poznańskiego, dla której był to jeden z najcięższych momentów w życiu. Ale już za kilka dni była jedną z nas, bo była spokojną, mądrą

dziewczyną, bo dziewięcioletnie serca tak bardzo pragną przyjaźni, a my przecież ciągle czekałyśmy na coś nowego, na dobre zdarzenia.

Teresa była też z nami w ten dzień, kiedy nauczyciele z bladymi twarzami zatrzymali nas po lekcjach w szkole i wszystkie klasy przez kilka godzin uczyły się śpiewać. Najpierw wszystkie piosenki, których nauczono nas w szkole, potem indywidualne popisy, jeszcze pieśni kościelne, aż pan kierownik dostał wiadomość, że rozstrzelani na pobliskim, niezabudowanym placu, już zostali uprzątnięci. Musieliśmy wracać ze szkoły obok tego miejsca. Kury z sąsiedniego gospodarstwa rozdziobiwały resztki krwi i mózgow.

* * *

Nasz nowy dom zbudował ojciec z cegieł wygrzebanych z pogorzelska. Chałupka miała raptem około 30 metrów kwadratowych, cegieł zabrakło i jedną ścianę zrobiono z pustaków, które w zimie od środka pokrywały się warstwą szronu, a podłoga to były nasyczone impregnatem stare legary z przebudowanego mostu. Ale dom miał wielki piec chlebowy, w którym co tydzień mama wypiekała osiem dużych bochenków chleba i dwa razy do roku pszenne, świąteczne placki.

Bieda była wielka, ale tak powszechna, że uznawało się ją za jakąś próbę. W opowiadaniach rodziców żyły jeszcze doświadczenia lat i wojny światowej i to wskazywało, że pewnie każde pokolenie musi mieć swoją wojnę. W tym wieku nie czuje się jeszcze uciekającego czasu, wierzy się, że wejdzie się na „swoją górę”.

Nawet ten okres budowania życia ze spalonych cegieł wydawał się krokiem do przodu. Chałupki, baraczków i budek przybywało, wracali znajomi, otwierały się bieda-sklepiki, na pogorzelskich zasiano rośliny. I wtedy zaczęło się prześladowanie Żydów. Najpierw opaski z gwiazdą, potem oszukańcze wyłudzenie okupów – to znałam tylko z podsłuchanych rozmów rodziców. Aż wreszcie dzień, kiedy nie wolno nam było wychodzić z domu. Przez jakiś czas jeszcze cienie przemykające wieczorami do studni, a potem już tylko straszne opowiadania z konkluzją: „my będziemy następni”.

* * *

To była instytucja składająca się z gromady umundurowanych osiłków z gumowymi pałkami, która przyjeżdżała do K., aby rekwirować nie zakolczykowaną trzodę, albo zabierać kuśnierzom kozuchy, bądź też egzekwować kontyngent zbożowy. Dwóch takich (ze śląską gwarą) napadło mego ojca w księżowskiej stodole, kiedy młócił cepami. Nie słuchając wyjaśnień zaczęli go okładać. Ale ojciec miał kowalski trening w rodzinnej kuźni i bardzo mocne ręce. Poradził sobie z nimi i uciekł.

Do gminnego aresztu zabrali matkę. Miałam jedenaście lat i byłam najodpowiedniejszą osobą, aby zanieść jej coś do jedzenia i ciepłą chustkę. Woźny gminny był wujkiem mojej koleżanki i wpuścił mnie do aresztu. W pomieszczeniu wielkości co najwyżej 15 metrów kwadratowych, którego połowę zajmowała prycza, było zgromadzonych ze dwadzieścia kilka osób obojga płci. Kobiety siedziały na pryczy i przykładały mokre szmaty do obnażonych, posiniaczonych pleców pojękującej kobiety. Mężczyźni stali pod ścianami, rozmawiali półgłosem, palili papierosy w pobliżu okienka umieszczonego pod sufitem. Smród ogólnie dostępnego wiadra, papierosów i ludzi, był nie do zniesienia. Łzy zalewały mi gardło i nie mogłam nic powiedzieć. Kiedy wyszłam z urzędu gminnego wpadłam na drzewo oślepiła z płaczu, a droga do domu była tak długa... Rodzina zorganizowała zboże na zaległy kontyngent i na noc matka wróciła do domu. Tych, których wykupienie ich bliscy zaniedbali wywieziono rankiem na Majdanek.

* * *

Od dziecka jestem domatorką i nie lubię hałasów, ale zapadająca w zewnętrzny otoczeniu cisza zawsze budzi we mnie niepokój. Wtedy też tak było. Nikt nie przychodził do studni po wodę, pracujący u sąsiadów gonciarz nie łupał drewna, nie było turkotu przejeżdżających furmanek, ani żadnych ludzkich głosów. Byłam sama w domu i poczułam konieczność wyjścia. Miasteczko było opustoszałe, a nieliczni przechodzący mieli spuszczone głowy lub zapłakane oczy. Przy głównym placu zwanym Rynkiem stała gromada mieszkańców, a na otwartej przestrzeni placu na drewnianych platformach stały dwie szubienice. Na każdej dziesięciu powieszonych mężczyzn. Byli w różnym wieku, w różnych ubraniach, z rękami skrępowanymi do tyłu, a ich zniszczone buty jakby oderwały się od ziemi do lotu. Ich twarze właściwie były jednakowe. Szaro-blade, z zamkniętymi oczami, z zaklejoną taśmą ustami, zwrócone ku niebu jakby w ostatniej niemej modlitwie.

To byli więźniowie – zakładnicy z Zamku Lubelskiego, straceni w odwecie za nękające Niemców działania partyzanckie. W tym samym dniu pod skarpą szosy puławskiej rozstrzelano jeszcze kilkudziesięciu mężczyzn przywiezionych z Zamku. Pochowano ich gdzieś w lesie, ale według list

wywieszonych przez skrupulatnych morderców, rodziny straconych potajemnie dokonały ekshumacji i przeniesienia na cmentarze. Tam pod szubienicami nasz tłum był bezsilny wobec ustawionych karabinów maszynowych i rozkraczonych wartowników. Ale kto był zwycięzcą, a kto upodlony?

* * *

Znałam wtedy słowo „informacja”, ale w jego najbardziej urzędowo-oficjalnym znaczeniu. Na pewno nie znałam słowa „manipulacja”, ale stosowałam tę operację. Utrzymanie rodziny w tych czasach, zapewnienie jej wyżywienia i ubrania, zmusiło moich rodziców do zmiany modelu, w którym dotychczas ojciec dostarczał środków, a mama poświęcała czas dzieciom i domowi. Spadła na mnie duża część obowiązków domowych i trudno było wyrwać się do koleżanek, które jak na nieszczęście albo były jedynaczkami, albo miały starsze siostry i przez to mniej zajęć domowych. Kiedy jednak dostawałam czas wolny, rozrywki terenowe i spotkania z koleżankami nigdy nie mogły zakończyć się w czasie narzuconym przez mamę. Powroty ze spóźnieniem były obciążone solidarnym gderaniem obojga rodziców i koniecznością wykazania skruchy. To drugie przychodziło mi najtrudniej.

Moja mama rzeczywiście była zapracowana i zupełnie nie miała czasu na omawianie z sąsiadkami lokalnych aktualności. Ale tak jak każda kobieta lubiła wiedzieć. Kiedyś przez przypadek przyniosłam do domu jakąś ciekawą czy straszną wiadomość. Zainteresowanie mamy zastąpiło dotychczasowe kazanie, a gdy wrócił ojciec, nastąpiło dodatkowe roztrząsanie tej informacji. Była to już metoda na rodziców. Należało tylko dbać o dopływ właściwych informacji. To nie było trudne. Ciągłe kogoś aresztowali, kogoś ktoś zabijał, a na naszej i sąsiedniej ulicy mieszkało kilka przystojnych panien, które po zmroku odwiedzali ich koledzy partyzanci – oczywiście w pełnym uzbrojeniu!

* * *

Halina miała „aż” czternaście lat i obowiązek posiadania kennkarty, kiedy na wiosnę 1944 roku rozpoczęli „oni” wyciąganie z domów wszystkich mężczyzn i młodych ludzi. Po kilku godzinach trzymania zabranych na placu, niegdyś targowym, przystąpili do selekcji. Zwolnili tych nielicznych, zarejestrowanych jako „arbeitende” i rolników. Resztę ciężarówkami zawieźli na Majdanek. Kominy Majdanka dymiły bezustannie, a ci którzy czekali na swoją śmierć, kopali rowy. Zimne, wiosenne noce, głód, szalejący tyfus i obozowa „higiena”. Na szczęście przy kopaniu rowów pilnowały więźniów nie nadające się na front „ciury”. Oni zresztą też byli niedożywieni. Halinę udało się odłączyć od kopaczy za gar kotletów i kapusty. I tu powinienam napisać – miała szczęście. Ale tylko druk jest czarno-biały. Halina wiele lat walczyła jeszcze o życie z gruźlicą z Majdanka. Jej zdrowie nie pozwoliło ani na studiowanie matematyki, do której wykazywała uzdolnienia, ani na zbudowanie przyszłości według własnego modelu. Czy jest jakaś wartość która mogłaby jej to wynagrodzić?

* * *

Były to ciężkie czasy, ale prawdziwy dramat przeżywały dzieci odłączone od rodziców. My mieliśmy to szczęście, że poza okresowymi zagrożeniami, byliśmy razem. I także mam we wspomnieniach dobre chwile dzieciństwa, kiedy wieczory wypełnione głośnym czytaniem pożyczanych od znajomych książek dostarczały nam wszystkich wzruszeń – od zatrzymującego serca strachu, poprzez łzy, aż do śmiechu do rozpuku. Nasza matka w tych koszmarnych latach okupacji była naszym azylem. W okresie przed Bożym Narodzeniem były wieczory wspólnego klejenia ozdób na choinkę. Przed Wielkanocą pisanki farbowane przedziwnymi metodami i ozdobne, choć chude mazurki, a zawsze książki czytane nawet przy 15-to watowej żarówce.

Zwykle w zimie, kiedy nie było pracy w polu, podsyłano mnie do bezdzietnej ciotki, trochę na odżywienie, a trochę na odpoczynek od moich licznych obowiązków domowych. U ciotki nie było elektryczności. Lampa naftowa świeciła tylko w kuchni, gdzie było dużo ludzi i rwetes właściwy kuchniom żyjącym kilka rodzin. Dzieliłam pokój z babcią. W dzień siedziałyśmy w swoim pokoju, przy oknie wychodzącym na lubelską szosę i chmielnik. Wieczorami stawałyśmy przy kafłowym piecu nagrzewającym się od kuchni, a wtedy babcia opowiadała mi wszystko o sobie i o ludziach z jej czasów.

Za ścianami domu rozgrywała się okropna awantura wojenna, drogą maszerowały coraz to inne nacje, a ja i babcia byliśmy w innym świecie, w którym na Newskim Prospekcie Wołosi sprzedawali drewno na opał, co kilka kroków można było napić się „kisłyszczu”, a właściciele konnych tramwajów byliby dobrą partią do małżeństwa, gdyby nie byli Moskalami.

Cudownym miejscem był strych w domu wujostwa. Było tam trochę prawdziwych książek, trochę starych rosyjskich i niemieckich podręczników szkolnych, roczniki czasopisma „Praktyczna Pani”, pisma „Kino” i mnóstwo broszurkowych wydawnictw z cyklu „Co tydzień powieść”. To były składniki mojej edukacji. „Praktyczna Pani” wprowadzała mnie w świat przedwojennej Warszawy i jej życie

towarzyskie. „Kino” urealniało wizję Ameryki, a powieści w rodzaju „Czarna perła szejka Omara” mocno podgrzewały moją wyobraźnię. Jeśli jeszcze dodać, że dla zabawy nauczyłam się pisać cyrylicą i niemieckim gotykiem, to można uznać, iż nie był to czas stracony.

* * *

Niekiedy udawało mi się przyjechać do domu ciotki w lecie. Wtedy miałam obowiązek pilnowania babci. Wycieczki do lasu, który był w odległości kilku kilometrów były dla niej pokusą od momentu stopnienia śniegów do następnego ich spadnięcia. A czasy nie były bezpieczne. Już po drodze mogło ją spotkać wiele przygód, gdyż nie nosiła żadnych dokumentów osobistych. W lasach byli partyzanci różnego autoramentu, a ponadto zanik pamięci stawał się o tyle groźny, że nie potrafiła podać właściwego miejsca zamieszkania, ale jakieś adresy z przeszłości. Kiedyś z takiej wycieczki przyniosła pełnowartościowy granat i dała do zabawy mojemu czteroletniemu braciszкови.

Nie zawsze udawało mi się wywiązać z dopilnowania babci. Nie krzyczano na mnie z tego powodu, ale przeżywanie czasu do jej powrotu z lasu było karą dostatecznie wielką.

* * *

Rok 1944. Już od czerwca, kiedy się poszło do lasu na jagody i przyłożyło głowę do ziemi, słychać było dalekie dudnienia. Dorośli wiedzieli więcej. Ale kiedy w lipcu ojciec przy pomocy sąsiada zamordował naszego niezbyt jeszcze dużego prosiaka, który miał dożyć Bożego Narodzenia, wiadomo było, że zaczyna się coś dziać. Tego samego wieczora miasteczko wypełniło się niemieckimi żołnierzami. Kiedy w piwnicy naszego spalonego domu pilnowałam z mamą studzącego się mięsa, nadleciał głośno terkocący samolot i w niskim locie ostrzelał okolicę wywołując popłoch wśród koczujących wokół Niemców. I znowu przeżyłam ten atak strachu. Kiedy kule bębniły po blaszanych dachach domów, a w oczach migwały świetliste linie, wciskałam się w grządkę koło piwnicy całym ciałem. Potem był gwar spłoszonych niemieckich żołnierzy, rwetes i dopiero głos ojca przywrócił mi myśl o innych.

Wczesnym rankiem załadowaliśmy na drabiniasty wóz kufer z bielizną i odzieżą, mięso z naszego prosiaka, trochę zapasów domowych i pojechaliśmy na odległą o dwadzieścia kilometrów, leżącą na uboczu wieś. Gospodarzyli tam przyjaciele rodziców. Był tam spokój i normalne wiejskie zajęcia. Tylko przejrzałe wiśnie w olbrzymim sadzie wskazywały, że nie jest czas na zbieranie owoców, robienie soków, konfitur i nalewek.

Ten tydzień, może dziesięć dni, na prawdziwej wsi, w trzydziesto-hektarowym gospodarstwie, wspominam jak koszmar. Tam wszystkie ręce były potrzebne do pracy. Dorosłe już prawie dzieci gospodarzy były pożyteczniejsze przy pracach polowych, a na mnie przypadł obowiązek pasienia sześciu krów od szóstej rano, na ogół bez śniadania. W południe ktoś mnie zastępował i gospodyni podawała obiad. Intensywnie zjadano mięso z naszego prosiaka – mocno nasolone, nie pierwszej świeżości, gotowane w żeliwnym saganie bez jarzyn i przypraw, także zupy wiśniowe na słońcu i żurek z kartoflami. Żurku nie jadłam właśnie od tamtych czasów, bo w tzw. „kumorzach” widziałam dzieżkę do zakwaszania z pełzającymi po jej obrzeżu białymi robakami. Moim pożywieniem były więc schnące na drzewach i przez to aż słodkie wiśnie.

Pierwszymi wyzwoliczami, których zobaczyliśmy, byli zszarżali ze zmęczenia polscy żołnierze z Armii. W pośpiechu wypijali mleko, z gospodarzem wypalali skręta w gazecie, pojedli wiśni w sadzie, powietrzyli nogi i sztywne onuce i szli dalej, nie zatrzymując się nawet na nocleg. Pamiętam tylko kaprała Gałkę, który zostawił rodzinę na Podolu. Płakał i ostrzegał nas, że będą prześladowania religijne. Za kilka dni wróciliśmy do naszego domu. Był ograbiony ze wszystkich drobnych przedmiotów, pełno w nim było słomy z legowisk i brudu. Blisko domu były dwa leje po pociskach, wokół nich rozrzucone dokumenty żołnierzy niemieckich. Nieco dalej była mogiłka Igora Panfilowa z czerwoną gwiazdą umocowaną na patyku. Miałam trzynaście lat i mój patriotyzm już nigdy potem nie był tak autentyczny. Przede wszystkim czekałam na jakąś defiladę lub chociaż pochód z powodu odzyskania wolności, na który to założyłabym już dobrą na mnie, haftowaną krzyżykami białą bluzkę mamy. Ponieważ jednak na taki imprezę się nie zanosilo, a rozklejono plakaty o wstępowaniu do wojska jako obowiązku obywatelskim postanowiłam, że pójdę do wojska. Takich obywaterek jak ja było wiele. Na szczęście zanim powzięłam jakieś konkretne działania, ojciec jednej z koleżanek dowiedział się o naszych pomysłach po prostu zaprowadził nas do wojskowego szpitala mieszczącego się w pałacu dworskim. Zanim jeszcze załatwił nam przepustkę na wejście, przywieźli żołnierzy z palącego się czołgu i nieśli ich w pałatkach obok trzech czekających smarkul. Zwiąaliśmy porzygując po drodze i tak Berlin miał zostać zdobyty bez naszego udziału.

Front zatrzymał się na Wiśle, a zwykli ludzie zajęli się sprawami, które nagle stały się możliwe. Jako osóбка ponad miarę samodzielna, bez wiedzy rodziców, z koleżanką i innymi ludźmi, radzieckim

autostopem pojechałam do Lublina obejrzeć zbrodnie na Majdanku. Już w tej wojskowej ciężarówce trochę mnie obleciał strach, kiedy wykryłam, że w słomie na dnie pojazdu turlają się granaty. Kierowca wysadził nas na przedmieściu i wtedy spotkał mnie starszy brat wracający już z Majdanka. Ostrzegł mnie, żebym tam nie chodziła. Nie poszłam. Chciałam jednak po czterech latach zobaczyć miasto, do którego często przed wojną zabierał mnie ojciec. Sterty serów i masła, gary śmietany, kosze białych bułek i prawdziwe napoleonki, eklerki, szarlotki i babeczki w sklepach, obudziły we mnie świadomość, że zdolność ludzi do powrotu do normalności to jest jakaś ogromna siła.

Czas wtedy nie płynął a biegł. Nauczyciele z pobliskich Puław, znajdujących się jeszcze na linii frontu, postanowili uruchomić szkołę średnią w pobliskiej miejscowości. Mieszkała tam moja ciotka, co usuwało trudności materialne związane z zakwaterowaniem i wyżywieniem. W pierwszych dniach września zdawałam jakiś egzamin z gramatyki i zostałam uczennicą klasy pierwszej i Gimnazjum Ogólnokształcącego. W tej pierwszej klasie było nas co najwyżej pięcioro we właściwym wieku. Reszta to tzw. „opóźnieni”, a więc o wiele starsi. Sklepowa ze spółdzielni, rolnik o spracowanej sylwetce, panny czekające na wyjście za mąż, wreszcie byli partyzanci z różnych ugrupowań, wyskakujący na przerwie na papierosa lub na setkę do woźnego szkoły.

Podręczników do nauki było niewiele i każdy z innego programu nauczania. Głównym źródłem wiedzy były wiadomości przekazywane nam przez nauczycieli na lekcjach. Mieli oni ciężkie zadanie, aby zrealizować program szkoły średniej i rozświetlić ten „mrok okupacji”. Może ktoś nie uwierzyć, ale fascynujące było dowiadywanie się o dziedzinach życia nam nieznanymi, poznawanie struktur innych języków, uzupełnianie wiadomości z dziedzin, które wyjaśniały codzienne zjawiska w przyrodzie itp.

Nasza gromadka małałatów klasowych miała dobre wyniki w nauce, ale na przerwach wołała poszaleć, niż śledzić na mapie wydarzenia frontowe. Ja i kolega Łucyk mieliśmy na przerwie różne zabawy, w stylu kot i mysz. Podczas jednej z takich zasadzek, zamiast Łuczka – dziennikiem w głowę dostał nasz wychowawca. To zaowocowało jedynym w mojej karierze obniżonym stopniem z zachowania. Wychowawca, nauczyciel języka polskiego pan profesor Gietka był jednak człowiekiem wspaniałym, nauczycielem z ducha.

Zajęcia lekcyjne odbywały się po południu w solidnym budynku szkoły powszechnej, wybudowanej w dwudziestoleciu na terenie i sumptem tamtejszej cukrowni. Miała małą salę teatralną, a środowisko tradycji teatru amatorskiego, zawsze kierowanego przez kierownika tej szkoły, naszego polonistę profesora Gietkę. W sali tej odbywały się też młodzieżowe zabawy. Dla nas była to zupełna nowość. Stroje były niewyszukane. Można było przyjść nawet w spodniach z koca. Chłopcy prawie wszyscy chodzili wtedy w wojskowych butach, a co bardziej eleganccy mieli kanadyjskie bluzy wojskowe. W ten świat wprowadzały mnie już nieco starsze koleżanki z klasy, takie które używały pudru, różu i kręciły włosy na papiloty. Był też jeden elegancki bal sylwestrowy w roku 1945. Wystąpiłam na nim w sukni pomarańczowej uszytej z materiału na pokrycia kołder. Ale to był wspaniały bal, a ja miałam już prawie piętnaście lat i przeszkadzały mi tylko warkoczki.

* * *

Ruscy. Pierwszy raz zobaczyłam ich w czasie powrotu z wiejskiej ewakuacji. Jechali po kilkunastu na wielkich, chrobocących czołgach, szli grupkami poboczem drogi. Nie mieli tak perfekcyjnych mundurów, jak żołnierze niemieccy. Byli w kolorze suchej ziemi, a z nimi szedł mdły zapach. Ten zapach zastaliśmy też w naszym domu, który był ich noclegownią podczas naszej nieobecności. Prawdopodobnie przebywał tu także jakiś wyznawca walki klasowej i zmanifestował to zostawiając swoją kupę w niedzielnym kapeluszu mojego ojca.

Nad rzeką, w budynku garbami urządzona została bania, czyli łaźnia dla wojska, pralnia i od-wszalnia. Ta ostatnia identyfikowała zapach towarzyszący armii. Żołnierze radzieccy nie byli brudni. Niezależnie od pogody, temperatury i rangi wojskowej, myli się przy studniach, prali swoje jakby blaszane onuce, koszule i ubrania. Potrafili też na kupce zgarniętych śmieci zapalić ogień, ustawić nieodłączny kociołek, z workowatego plecaka wygrzebać jakieś produkty, wydlubać kartofle z ziemi i ugotować barszcz trudny do nazwania.

Kiedy się teraz mówi o okupacji rosyjskiej, o zbrodniach NKWD, to nie jest to pełny obraz tamtych czasów. Dla nas, ludzi prostych, młodych i nieprzygotowanych do myślenia w kategoriach politycznych, byli to także ludzie biedni jak my, daleko od domów i rodzin – czego zaznaliśmy i my, umierający na naszych ulicach, żołnierze przed którymi nie trzeba było się chować, z którymi łatwiej było rozmawiać. Oni także przynieśli pieśni, muzykę i taniec związane z codzienną ludzką drogą.

Polubiłam dzwoniące śmiechem sybiraczki Regulirowszczyki, które przyprowadziła moja młodsza siostra. Od surówkowych, twardych biustonoszy, miały rany na ciele, twarze pełne radości, przyjaznej życzliwości, a przez swoją bezpośredniość od razu stawały się bliskie i zaprzyjaźnione.

Lubelskim traktem tygodniami ciągnęły oddziały wojskowe. Prześmiesznie staroświeckie ciężarówki przyozdobione były czerwonymi transparentami z patriotycznymi hasłami lub firaneczkami z gazy

opatrunkowej z zawieszonymi na nitkach kuleczkami waty. To dziewczyny sanitariuszki zawieszały swoją tęsknotę za rodzinnym domem. Nigdy niczego nie żądali. Pili wodę z tego półkwaterek, który teraz stoi na naszej półce i odchodzili.

W domu mojej ciotki był pokój z osobnym wejściem, do którego sołtys przysyłał na kwatere. Pierwszy mieszkał tam generał z pobliskiego zaimprovizowanego w polu lotniska. Nie pamiętam już jak wyglądał. Nie pospolitował się z nami, wstawał bardzo wcześnie, mył się pod studnią, wracał bardzo późno, wypijał bulion i kładł się spać. Ten bulion jego ordynans gotował w naszej kuchni już od rana i zdaje się, że było to jego jedyne zajęcie. Następnymi lokatorami były telefonistki z lotniska. Wesołe, głośne dziewczyny, urządzające przyjęcia składające się z kotletów i naleśników mocno zakrapianych wódką. Wuj z natury ponury wściekał się wtedy, ale ja bardzo lubiłam słuchać drugiego etapu imprezy, kiedy uczestnicy śpiewali i grali na akordeonach. Trzeci etap przyjęcia był już cichszy, ale ja byłam za młoda, żeby wiedzieć jaki był jego program.

Po kapitulacji III Rzeszy w pokoju-kwaterze raz na miesiąc zatrzymywał się na dwie doby konwojent zdobywanych samochodów lejtnant Paweł Czernousow. Był synem dyrektora huty na Kaukazie, używał noża i widelca, perfum niezwyklej mocy i lubił czyścić moje brązowe oficerki, które rzeczywiście były dziełem sztuki szewskiej. Zawsze podawał ciotce termin swego następnego noclegu. Ostatniego nie dotrzymał. Pewnie wysłali go na wczasy.

Później sojusznicy zadomowili się już w Polsce na dobre. Mieli już swoje koszary i linie telefoniczne na tyczkach, zlikwidowali lotniska polowe i kwatery działała sporadycznie. Pamiętam wizytę radzieckich pilotów, których było co najmniej sześciu i od razu rozwiali zmartwienie wujostwa, że jest za mało miejsc do spania. Nie będą im potrzebne. Poprosili o podgrzanie przywiezionej kielbasy i parę szklanek. Potem przynieśli z samochodu kanister spirytusu, wzięli z kuchni wiadro z wodą i zasiedli do tej kolacji. Uczując grali w karty do czwartej rano. Ich skórzane kurtki ciągle zmieniały właściciela. Głosy były nerwowe, a narzędzia do strzelania leżały na stole. Z domowników spała tylko babcia. Od tego czasu widziałam dużo kowbojskich filmów, ale jeszcze nie spotkałam w nich nastroju porównywalnego z tym słowiańskim seansem. O czwartej rano, przy mroźnej pogodzie lutego, wyskoczyli do studni i rozebrani do pasa polewali się wodą z wiaderka czerpaka. Potem ubrali się w swoje kurtki i pojechali pod brezentem gazika.

Mimo gehenny Polaków ze wschodu, mimo Katynia, Stalina, zbrodni NKWD, mimo zakusów na naszą wolność, mimo obozów koncentracyjnych, zgładzenia Esterki i Racheli, bicia mojego ojca pałkami – nie potrafię nienawidzić ani tych wszystkich, którzy pili wodę z mosiężnego półkwaterek, ani Leny – przyjaciółki mojej córki, ani znajomej Laryssy, czy Elizabeth z Monachium. Nie mogę i nie chcę, bo nienawiść niszczy wszystko, a tworzy zagładę, obozy koncentracyjne, bezdomnych ludzi i sieje śmierć. Między nienawiścią a miłością jest jeszcze tyle etapów do wykorzystania: wspólnota interesów, zrozumienie, zainteresowanie, tolerancja aż do przyjaźni.

* * *

Każdy kto miał młodsze rodzeństwo zna pojęcie „ogon”. To jest młodszy brat lub siostra, którzy chcą ci towarzyszyć i zatruć chwile wolności. Rówieśnicy, z którymi masz się spotkać albo są wściekli – jeśli właśnie uwolnili się od swoich „ogonów” – albo nie mają młodszego rodzeństwa i wręcz rozpieszczą tego intruza, a on zaczyna się popisywać. Tak czy owak psuje ci całą zabawę.

Ja takie „ogony” miałam dwa: o sześć lat młodszą siostrę i o osiem lat młodszego ode mnie brata. Przyzwyczajeni do mojej opieki przez cztery lata okupacji nie chcieli się ze mną rozstawać nawet wtedy, gdy rodzice mogli się nimi zająć. Mój wyjazd do szkoły we wrześniu 1944 uczynił ze mnie człowieka wolnego pod tym względem. Wprawdzie mama skarżyła się, że nie daje sobie z nimi rady, ale to już nie było moje zmartwienie. Tymczasem samodzielność tych dwóch berbeci w wieku przedszkolnym rozwijała się gwałtownie. Pierwszą ich pasją stało się łowienie ryb koszykiem w pobliskiej rzeczce. Nie było groźby utonięcia któregoś z nich, gdyż rzeczka była „żabie po kolana, komarowi po pas”, ale zapominali o posiłkach, przychodzili w mokrych ubraniach z garścią drobnych rybek, które nie nadawały się oczywiście do jedzenia, wobec czego zjadał je kot. Niestrawność jaka opanowała przewód pokarmowy kota spowodowała, że ojciec ukroił to hobby.

Potem zgrana para zaczęła mamie ginąć na długie godziny. Wracali brudni i zmęczeni, ale śledztwo przeprowadzane przez rodziców nie dawało wyników.

W święto Bożego Ciała, kiedy wszyscy mieszkańcy brali udział w procesji, w jednej z dzielnic miasteczka wybuchł pożar. Niestety ratowanie dobytku było niemożliwe, gdyż domy i inne zabudowania wybuchały jak składy amunicji. Mamę po tym wydarzeniu tknęło dziwne przecucie. Poszła na nie używany strych naszego starego domku i... odkryła tam arsenał broni i pocisków wcale nie małego kalibru. Po przetrzepaniu tyłków winowajcom sprawa została wyjaśniona. Dzieciaki robiły wyprawy na polowe lotnisko radzieckie. W rosnących obok uprawach stały skrzynki z amunicją zupełnie nie pilnowane, jakby to dziś powiedzieć – ogólnie dostępne. Przez pięć wieczorów mama

w fartuchu, a ojciec w zgrzebnym worku (dla zamaskowania) wynosili tę amunicję. Winowajcom została narzucona nieco ostrzejsza dyscyplina domowa.

* * *

Byliśmy już wtedy w szkołach średnich, rozrzućeni po całej Polsce. Ale to był nasz świat, a ojczyzna była w tym małym miasteczku. Dlatego na wakacje przyjeżdżaliśmy do K. Trzeba było też pomagać rodzicom i niektórzy z nas mieli zajęte całe dnie. Dopiero wieczorem spotykaliśmy się w baraku remizy strażackiej w kinie, a potem siadaliśmy na pniach ściętych drzew, albo stertach dużych kamieni. Oglądaliśmy spadające gwiazdy, opowiadaliśmy przywiezione dowcipy, które chociaż wiekowe, u nas były nowością. Niektóre pary miały się ku sobie, niektórzy byli zakochani bez wzajemności – ale plany realizacji tej sfery były jeszcze bardzo odległe. Mieliśmy przed sobą jeszcze wielką przyszłość. Nasza promenada spacerowa to była szosa lubelska, po której obydwu stronach do dzisiaj rosną stare, olbrzymie lipy.

Adam, który uczył się w Grudziądzu przyprowadził pewnego wieczoru swego szkolnego kolegę i przedstawił nam go jako poetę. Spacerowaliśmy tą lipową, ciemną aleją całą gromadą, ale poeta był koło mnie. Widocznie trafili na siebie tacy dwoje, co nie umieją zadawać pytań i rozmowa nam się nie kleiła. Ale poeta zaczął coś recytować, czy improwizować... To było coś zaskakującego mój poziom umysłowy, coś mądrzejszego... Ale płaska pochwała byłaby tak banalna, głupia, więc skwitowałam milczeniem. Chłopak zamilkł także. Nie pamiętam jego twarzy, ani imienia, ale może to był naprawdę poeta?